

Bogusław Jasiński

## Imię wszystkich imion „Jam Jest, Który Jest” i jego metafizyczne konsekwencje

**Słowa kluczowe:** istnienie, Jam Jest, Który Jest, logika, prawda, ethosofia  
**Keywords:** existence, I Am that I Am, logic, truth, ethosophy

Tę scenę znamy wszyscy: Mojżesz schodzi z góry Horeb, gdzie po raz kolejny spotkał Boga. Jeszcze nie ma kamiennych tablic z wypisanymi na nich przykazaniami, ale za to usłyszał imię Boga, którego domagali się Izraelici. I choć usłyszał, to jednak waha się, czy naprawdę powinien powtórzyć je wobec własnego ludu. Bo, zaiste, nikt takiego imienia wcześniej nie słyszał: co to znaczy JEST?

Dotykamy właśnie fundamentu tajemnicy, a jest nią w istocie próba zgłębienia natury samego Boga. Próba – dodajmy – ponawiana ciągle na nowo i ciągle od początku. „Odpowiedział Bóg Mojżeszowi: »JESTEM, KTÓRY JESTEM«. I dodał: »Tak powiesz synom Izraela: JESTEM, Bóg ojców waszych, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba posłał mnie do was. To jest moje imię na wieki i to jest moje zawołanie na najdalsze pokolenia«” (Wj 3, 14–15). Prawdopodobnie jesteśmy też blisko samego fenomenu wiary, aczkolwiek to nie ona jest przedmiotem naszej refleksji.

A zatem koncentrujemy się na owym JESTEM. Oto rdzeń istnienia jako takiego i jednocześnie klucz do metafizyki<sup>1</sup>. W zgłębieniu jego natury zawiera się sens bytu, a zarazem wyobrażenie Boga. Jednak w jakiegokolwiek próbie analizy istnienia zawsze zawodzą tradycyjne, a w szczególności filozoficzne metody myślenia. Nie ma tu bowiem problemu definiowania, co jest czym – albowiem

<sup>1</sup> Od analizy spójki „jestem” rozpoczynam wykład koncepcji ethosofii w książce *Tezy o ethosofii/Theses on ethosophy*, Warszawa 1992, § 1–13B i in.

istnienie albo jest, albo nie jest, i doprawdy nie jesteśmy w stanie użyć żadnego *definiensum* do jego zdefiniowania, gdyż z istoty swej jest ono najszersze zakresowo. Jawi się nam z mocą oczywistości. Nie może też być w tym wypadku nawet „filozoficznej” kwestii fałszu lub prawdziwości – te konceptualne zabiegi są bowiem czysto ludzkie, tzn. są dystynkcjami naszego rozumu, który tak właśnie ustawia jakiegokolwiek znaczniki w samym życiu. Są one jednym z wielu wytworów naszego rozumu i jako takie – w obliczu porażającej oczywistości owego JESTEM – nie mają sensu. Nie da się znaleźć – podkreślmy to raz jeszcze – jakiegokolwiek szerszego zakresowo pojęcia niż Jest – bo cóż bowiem może to być? Pustka, nicność, czyli nie-byt? Jakże trudno poruszać się tu słownie! Te intelektualne dywagacje nie mają w tym wypadku żadnego sensu, a świadczyć mogą jedynie o ułomności naszego rozumu, przy okazji mimowolnie stając się przejawem naszej pychy. Droga ta prowadzi donikąd, aczkolwiek to właśnie na niej dokonujemy naszych życiowych wyborów. Więcej: to jest szlak naszego życia! To doprawdy zadziwiające, jak życie uzasadnia się samo, jak staje się samowystarczalne – i zadziwiające jest również to, że nie zadajemy już pytania, dlaczego tak się stało. Kiedy i jak?

Biblijne JESTEM, KTÓRY JESTEM staje się w tym wypadku potrząśnięciem za ramię, a w blasku tego stwierdzenia wszystkie formy życia nagle stają się nieoczywiste, nieabsolutne, względne i tymczasowe. To jakby obudzenie się z drzemki, w którą popadamy mimowolnie – żyjąc tylko życiem powszednim.

Moje „jestem” odsyła mnie także natychmiast do JESTEM, KTÓRY JESTEM – ale tylko wtedy, kiedy w tym doświadczeniu staję prawdziwy i autentyczny; to znaczy wtedy, kiedy wiem na kołku wszelkie role i maski, a pozostaję wyłącznie z moim „jestem”. To wszak wspólny mianownik dla wszystkiego, co... właśnie jest. Czy często widzimy tę relację i to wynikanie? Jak głęboko trzeba wejść w siebie i jak boleśnie nieraz trzeba upaść, czego doświadczyć i przez ogień jakiej tragedii przejść, aby do tego dotrzeć? Każdy na mocy swojego „jestem” ma swoją miarę i swój rozmiar bycia, które dźwiga, i zaprawdę nigdy nie jest i nie może być tak, że spoza jego chmury nie można dostrzec TEGO, KTÓRY JEST. Cała reszta zależy tylko ode mnie, od mojej woli i od mojej prawdy, którą decyduję się odkryć i stanąć wobec niej. Lękamy się jej, ponieważ zawiesza ona całe życie, jego porządek, jego formy i logikę, na chwilę choćby czyni je nieważnymi i bez znaczenia bezwarunkowego, jak dotychczas bywało. Ta logika przestaje tu obowiązywać. Tego się właśnie boimy. Bo nie wiemy, co dalej. A dalej przecież JEST TEN, KTÓRY JEST. Tak, to rzeczywiście wymyka się porządkowi życia, a ono jest przecież naszą drugą naturą. Dlatego wolimy zdecydowanie być zasznurowani w swoich mniemaniach i wyobraże-

niach o sobie samych i świecie dookoła, zamknięci na jakąkolwiek prawdę inną od naszej własnej. W niej bowiem czujemy się bezpieczni. Bo tu wszystko jest sprawdzalne rozumem i dosłownie na wyciągnięcie ręki. A nie widzimy, że w ten sposób uruchamiamy mechanizm samopotwierdzania własnej egzystencji, tak jak nasza wiedza zakłada i potwierdza samą siebie. I na koniec pozostaje tylko w istocie swej to banalne stwierdzenie, że dokądkolwiek się w życiu obrócimy, widzimy własną twarz.

JAM JEST, KTÓRY JEST – to jedno, wcześniej nieznane imię – rozbija tę logikę i demistyfikuje nasze codzienne narracje, zimną wodą polewa nasze głowy. Pokazuje jednocześnie, że istnieje twardy grunt pod stopami, któremu nie sposób zaprzeczyć – czyli istnienie same, nagie i oderwane od życia i jego form. Bo czyż bez dozy szaleństwa da się zaprzeczyć wędrówce słońca po niebie, wianiu wiatru, biegowi rzeki lub temu, że deszcz pada? To jest dopiero prawdziwy absurd – właśnie to, a nie literacki fakt opisany przez Alberta Camusa, który w całości przypisany jest życiu. Może i życie jest absurdalne, ale przecież z punktu widzenia istnienia samego jest przede wszystkim ułudą. Otwórz oczy i zobacz, odetkaj uszy i słuchaj, otwórz usta i mów. Tak właśnie każe myśleć Jestem.

Ten powszechnie znany wyżej przytoczony cytat z Biblii (*ehjeh aszer ahjeh* – Jestem, który jestem) wbrew pozorom nie jest jednak jednoznacznie rozumiany. Nakłada się bowiem na jego sens tłumaczenie greckie Septuaginty, które *notabene* często porzucając literę hebrajskiego oryginału, przekazywało zdumiewającą logikę do tego stopnia, że stało się tekstem kanonicznym. I to nawet dla samych Izraelitów! W tym konkretnym przypadku jest podobnie. Otóż o ile dla Hebrajczyków ów cytat oznaczał po prostu bycie Boga pośród ludzi, i to prawdopodobnie wręcz w sensie osobowym, o tyle dla Greka tłumaczącego stary tekst hebrajski owo „Jest” stawało się pewną inwariantną cechą wszelkiego bytu (*ego eimi ho on*), a zatem pewną abstrakcją, albowiem ów Grek już wiedział, co to jest Absolut. Bo już miał w głowie całą filozofię! Czyli myślenie abstrakcyjne. Tymczasem jesteśmy w świecie, w którym jeszcze nie wymyślono filozofii. Dlatego właśnie jest to przedziwne imię JESTEM, które dopiero potem, czyli po odkryciu myślenia abstrakcyjnego przez filozofów, stało się abstrakcją lub Absolutem.

Na marginesie tych uwag zwróćmy uwagę na jeszcze jeden szczegół. Niewątpliwie kwestia istnienia była również obecna w dawnej myśli greckiej i w jej duchowości. Jeśli wierzyć Plutarchowi, to nad centralnym wejściem do świątyni delfickiej widniał tajemniczy napis „E”, który należało tłumaczyć jako „Jesteś”. To są naprawdę zadziwiające analogie i inspiracje dla dalszych badań. Dlaczego nikt wcześniej ich nie zauważył?

## 1. JEST tylko w modlitwie?

A zatem w doświadczeniu owego „jestem” tak naprawdę przemawia do człowieka sam Bóg JESTEM. Jak? Pytanie to nieustannie powraca – zarówno pod piórem teologów, jak i filozofów, w obrazach malarzy i nutach muzyków, w strofach poetów i westchnieniach zwykłych ludzi w zwykłym powszednim życiu. A jak ja słyszę to pytanie? Oto widzę teraz, że niespodziewanie dla samego siebie dokonuję zmiany w tym myśleniu: już nie pytam o to, jak mówi do nas Bóg, lecz pytam o samo pytanie! Skąd ono do mnie trafia, gdzie się rodzi, dlaczego w ogóle pytam i w jaki sposób? Czy to jest zwykła asekuracja człowieka niedowierzającego, małej wiary lub wiary ułomnej? A może jest to pytanie filozofa, który bawi się myślami? Nie, to jest badanie możliwości takiego pytania.

Pytanie to powstaje w zwykłym życiu i całkiem przeciętnej egzystencji, i jako takie staje się przejawem i manifestacją... samego istnienia. Wszak istnieje również ja – ja pytający. Innymi słowy – tak to widzę – nie przychodzi ono do mnie z zewnątrz mojego świata, lecz przeciwnie – rodzi się z głęboko i autentycznego doświadczenia własnego wnętrza; z samego środka sytuacji egzystencjalnej, której jestem także uczestnikiem. „Będę słucał, co we mnie będzie mówił Pan Bóg” (Ps 85, 9). Pytanie to, jednym słowem, staje przede mną dosłownie na mojej drodze, a nie spada jak grom z jasnego nieba. Oto pierwszy paradoks, który odkrywam już na samym wstępie: mowa Boga JESTEM nie jest kwestią nieba, lecz ziemi! To tu szukam jej śladów. To jest jednocześnie doświadczenie konkretne i zwyczajne, a nie niezwykle i nadzwyczajne. Bo mowa ta jest faktem – albo jest, albo nie jest. Ale czy wtedy wykracza poza samą wiarę?

Innymi słowy, pytanie, od którego wyżej zacząłem, wyłania się z głębi mojej egzystencji, ze mnie samego. Ma to niewiele wspólnego z dogmatyką *stricte* religijną, lecz raczej pytanie owo wprost odkrywa oczywisty związek z realną obecnością JESTEM w moim świecie. Trzeba powiedzieć jeszcze mocniej: w tym doświadczeniu jest mniej intelektu, a zdecydowanie więcej obcowania z samym fenomenem istnienia. Wiara taka jest zatem doświadczeniem, a nie deklaracją wiary. Wiara bez wiary?

Taka mowa to kurczowe trzymanie się również mojej obecności, czyli doświadczenie oczywistości istnienia. Bóg JESTEM mówi do mnie o tyle, o ile ja jestem wobec Niego wychylony, otwarty – tak, aby mógł działać. A zatem On mówi, kiedy ja mówię o tym – jakże często bez słów!

Być obecnym wobec JESTEM jest równoznaczne z zawieszeniem form życia i trwaniem w samym istnieniu – czyli zagłębianiem się w oczywistość

istnienia samego. Nawet modlitwa staje się więc wchodzeniem w głębię, a nie wzlatywaniem ponad. To ciągle ponawiana próba pozbycia się maski i roli, którą nadaje mi życie, i jednocześnie odsłanianie czystego faktu istnienia, które samo w sobie jest darem całkowicie niezasłużonym. Innymi słowy, to odkrywanie, kim jestem naprawdę – zaiste przejaw największego realizmu. Nie jest zatem czynnością konceptualną, lecz czynem i doświadczeniem. Co wcale nie oznacza, że jest bezrozumna. Uwalnia mnie od samego siebie i roztopia w istnieniu. Tak oto wchodzę w jego oczywistość.

W takim razie – z perspektywy doświadczanej oczywistości istnienia – jakże mogę cokolwiek takiemu Bogu narzucać? Dlatego w gruncie rzeczy ograniczony sens mają wszystkie błagania i prośby, lamenty i uczucia, które wylewamy z siebie w modlitwie. To naprawdę zaśmiecanie przestrzeni, która w całości powinna być wypełniona wdzięcznością za istnienie i uwielbieniem dla samego istnienia. Cała reszta przychodzi niepostrzeżenie sama, raczej cicho niż przy dźwięku fanfar lub werbli – problemy rozwiązują się same. Kto inny za mnie działa. Staje się to tym bardziej prawdopodobne, im bardziej zanurzam się w oczywistość tego niewątpliwego cudu, jakim jest istnienie samo. I oto natrafiamy tu na kolejny paradoks w takiej modlitwie. Powierzyć JESTEM całe swoje życie znaczy tu tyle, co zapomnieć to życie. Wtedy jest szansa na to, że stanie się ono sensowne. I jeszcze konkretniej: rozwiązać problem poprzez taką modlitwę oznacza zatem zapomnieć o nim choć na chwilę dzięki zagłębieniu się w oczywistość istnienia. Widzę wtedy jego nieabsolutność, uchylam jego bezwarunkowość, a może nawet dostrzegam jego pozorność – rozwiązuję je jak supeł wcześniej zadzierzgnięty. Być może miarą tego paradoksu jest paradoksalność samej wiary – całkowicie niewytlumaczalnej z życiowego punktu widzenia. A więc bez form wiary.

To JESTEM przemawia do mnie w modlitwie, nie mówiąc jednocześnie nic, za to jedynie odsłaniając niepodważalny fakt mojego istnienia. Przemawia, odrzucając po kolei następne i następne warstwy, w które sam siebie owinąłem, zasznurowując się i zamykając na Niego. Pokazuje tym samym i udowadnia za każdym razem pozorność form mojego życia, ich tymczasowy charakter. Modlitwa zatem jest powrotem do realizmu i rzeczywistości. A dlaczego nauczano do tej pory, że jest na odwrót? To nie ucieczka, ale powrót do samego siebie.

Nie ma żadnych specjalnie uprzywilejowanych „sposobów” takiego modlenia się, tym bardziej wyszukanych technik. Sposoby zawsze zawodzą, albowiem odkrywamy w modlitwie stan jeszcze sprzed jakichkolwiek technik. Coś, co technikę poprzedza i tak naprawdę warunkuje. Trzeba stanąć twarzą

w twarz z samym istnieniem – doświadczyć w pełni tego prawdziwego cudu niczym niezasłużonego.

Modlitwa taka wreszcie pozwala właściwie – to znaczy z oddalenia – spojrzeć na samo życie, wziąć je choć na chwilę w cudzysłów. I to najrealniej, jak tylko można, a nie z perspektywy doraźnych ułud. A są nimi nasze pomysły na życie konstruowane na miarę naszego rozumu, ideologie, poprawności intelektualne, obowiązujące style myślenia *etc.* Kiedy niczego nie zakładam z góry, niczego sobie nie wyobrażam, o niczym nie myślę, wtedy słyszę, jak modlitwa we mnie dźwięczy – bo zrobiłem jej miejsce. Dźwięczy, to znaczy objawia mi się sama oczywistość istnienia. Czyli Jego imię.

Modlitwa taka nie jest też sprawą ludzi szczególnie „słabych” ani też szczególnie „mocnych”, ponieważ jest poza tymi rozróżnieniami. Odslania ona bowiem całkowicie inny porządek i inną logikę, gdyż jako taka jest wejściem w tajemnicę i zarazem moc istnienia. Modlę się nie dlatego, aby po ludzku szukać oparcia (życiowego), lecz właśnie na odwrót: porzucam jakiegokolwiek życiowe podpórki i dosłownie rzucam się w niezgłębioną tajemnicę bycia. W szczególności zaś modlitwa nie może być pułapką zastawioną na Pana Boga: modlę się, bo czegoś chcę. Bóg JESTEM wszystko wie i wie też, co jest właściwe dla mnie, trzeba więc przede wszystkim być blisko Niego. Modlitwa zatem to czyn, a nie konceptualne rozważanie, doświadczenie niekiedy heroiczne, a nie eksperyment myślowy, wyzwanie, a nie spoczywanie na laurach.

Są – jak wiadomo – dwa podstawowe akty w modlitwie: uwielbienia i dziękczynienia. Od tego się zaczyna: uwielbienia Tego, który Jest. I wszystkiego, co jest. A potem dziękczynienie za to, że Jest. Także za wszystko, że jest – i wreszcie, że ja jestem ponad wszelką filozoficzną wątpliwość. Oba te akty są zarazem bramą do modlitwy. Dopiero potem następuje złożenie przed Bogiem całego swojego życia, z jego wszystkimi problemami, troskami, pragnieniami i lękami. A one rozwiązują się same, bo wystarczy tylko być przy Bogu JESTEM. Okazują się w pewnym sensie pozorne z punktu widzenia samego istnienia. Nic bowiem w gruncie rzeczy istotniejszego nie ma ponad istnienie samo. „Ten, który jest” brzmi Jego imię.

Wybór zatem jest jasny i prędzej czy później przed nim stajemy – oby jednak szybciej, by nie tracić czasu na życie. I oby nie wtedy, kiedy przed oczami jest już tylko ściana rozpaczy. Z tego punktu widzenia szczęście jest brakiem tragedii i na tym spróbujmy poprzestać. Niechaj życie nie boli, a z upadku dźwigajmy się szybko. Miarą tak pożądanego przez nas szczęścia jest odległość dzieląca od Tego, Który Jest – tą miarą jest zatem doświadczenie samego Istnienia, trwanie w Nim, kontemplowanie Go, bycie w Nim. Mogę zatem defi-

niować szczęście przez to, czym na pewno nie jest – to zaś jest enumeracyjne wymienianie form życia utkanego mocą naszego rozumu; to jest jak obieranie z łupin cebuli.

Mówili i powtarzali: „powierz to i to swojej modlitwie” – ale co to znaczy? Tak często to słyszę... Otóż prawdziwe i realne prze-modlenie czegokolwiek to tak naprawdę zapomnienie tego czegoś – oddanie miejsca samemu istnieniu, a wtedy rozwiązanie przychodzi samo. Napisało się kiedyś: zrobię miejsce Duchowi Świętemu, niech działa sam i wymiata z umysłu moje ułudy. Co to teraz znaczy? Tak naprawdę to tylko kwestia dokonania pewnego wyboru i podjęcia decyzji – cała reszta dzieje się już bez mojej woli i bez mojego udziału. Jestem świadkiem i widzę wszystko z właściwej perspektywy, a to znaczy już nie mojej. Widzę życie z brzegu rzeki, ale nie płynę – oto perspektywa modlitwy zanurzającej w samym istnieniu. Tak to czuję, kiedy jestem naprawdę i kiedy nie próbuję rozstrzygać czegokolwiek własną myślą, wołą, a zwłaszcza wyobraźnią. Kiedy tylko jestem – jestem najpełniej i najprawdziej. Czy jestem rzeczywiście gotów?

## 2. Jest i Istnienie

Być może tylko tak jak wyżej można mówić o imieniu JESTEM. Czyli w formie modlitwy, która nie jest ucieczką, ale – na odwrót – powrotem do doświadczenia oczywistości samego istnienia. Na ile jednak zmienia to nasze wyobrażenia o wierze i modlitwie? Prawdopodobnie nie ma jednej i konkluzywnej odpowiedzi na to pytanie. Spróbujmy jednak zrobić przynajmniej rejestr problemów, które wynikają z owego JESTEM – tym razem językiem filozofii.

Istnienie jest pojęciem niedefiniowalnym, albowiem – jak powiedzieliśmy – najszerszym z wszystkich zakresowo. Nie jest tu zatem możliwa żadna definicja w ustalonym sensie tego słowa<sup>2</sup>. Pozostaje nam posługiwanie się w tym względzie paradoksami – które akurat w tym przypadku wyjaśniają więcej niż jakakolwiek definicja. To, co Istnieje – Istnieje. Albo coś Istnieje, albo Nie Istnieje. Jedyną poważną rzeczą – tak naprawdę – jest zajmowanie się tym, co Istnieje, ponieważ to, co Nie Istnieje – Nie Istnieje. Jest jest. Czy może być coś bardziej oczywistego? Oto zdania zwykłego dyskursu, od których zaczynamy.

<sup>2</sup> Wykazali to błyskotliwie – na przykładzie definicji pojęcia prawdy – Max Black (w eseju *Semantyczna definicja prawdy*) oraz P.F. Strawson (w pracy *Prawda* – obie zamieszczone w książce *Logika i język*, PWN, Warszawa 1967). Wynika z ich dociekań, że nie istnieje żadna formalizacja teorii prawdy – na przykładzie semantycznej teorii prawdy Alfreda Tarskiego. Tu milczy albo logika, albo filozofia i wydaje się, że granica ta jest dla obydwu nieprzekraczalna.

Nawet człowiek nieszczęśliwy niejako w naturalny sposób predestynowany jest do praktykowania Samego Istnienia. W pewnym sensie z konieczności, mniej z wyboru. Tylko bowiem święci naznaczeni są mocą daną im do świadomego wybierania tej praktyki, do stąpania zaiste po krawędzi, balansowania na linie, chodzenia po ostrzu miecza... Ale jedni i drudzy, tak bardzo w tym do siebie podobni, są odrzuceni przez logikę życia powszedniego. Oni zamieszkują margines, który dla nich jest stworzony. Jest marginesem i jest tak nazwany dlatego, że życie wyznacza centrum zupełnie gdzie indziej; tam, gdzie tętni rytm i porządek innej logiki – ustanowionej przez rozum ludzki. Istnienie Samo zaś nie przez tę logikę i przez rozum człowieka jest ustanowione. To zasadnicza różnica, do której między innymi przez nieszczęście się dorasta. A zatem praktykowanie Istnienia to zarazem odrzucanie Form Życia i heroiczne odsłanianie tego, co naprawdę tylko jest. I jednocześnie aż jest. To nie jest też ćwiczenie li tylko intelektualne, rodzaj zabawy rozumu – tak naprawdę jest to przewracanie życia do góry nogami właśnie po to, by nadać właściwy mu sens. Może tak właśnie rodzi się moc – moc bycia samego. Nie nazywaj tego tajemnicą, w ogóle tego nie nazywaj, a tylko opisz najprościej, jak możesz, bez żadnych literackich ozdobników. Niczego nie zakładaj i nie nazywaj, raczej dawaj świadectwo, cicho notuj, wydobywaj, nie stwarzaj i nie określaj. A wcześniej porzuć formy życia i poczuj się cichym pasterzem samego bytu. Bo przecież nie ma przypadku w tym, że tak zaczyna w swym *lazen* (późniejsze *lassen*) Mistrz Eckhard, którego uważnie czyta Martin Heidegger. Tu trzeba rzeczywiście zachowywać się nader ostrożnie.

### 3. Kłopoty z definicyjnym ujęciem istnienia

Ponieważ nie da się zdefiniować pojęcia istnienia, nie da się także podać definicji jego przedmiotu. W przypadku istnienia nie jesteśmy w stanie posłużyć się jakimkolwiek terminem go definiującym, albowiem – powtórzmy to raz jeszcze – to, co definiowane, ma najszerszy z możliwych zakresów. Podobnie dzieje się w przypadku definiowania przedmiotu, ponieważ i tu musimy posługiwać się terminami definiowanymi. Z takiego paradoksu – jak wiadomo – częściowo wybrnął Alexius Meinong, który przyjął, iż takim przedmiotem jest ogół tego, co istnieje<sup>3</sup>. A zatem kwestia definiowalności przedmiotu została tu zepchnięta na dalszy plan (mimo szczegółowego wyróżnienia przez Me-

<sup>3</sup> A. Meinong, *Gegenstände höherer Ordnung und deren Verhältniss zur inneren Wahrnehmung*, w: *Zeitschrift für Psychologie und Physiologie der Sinnesorgane*, 21 oraz *Gesamtausgabe*, t. 1–7, Graz 1968.



inonga różnych klas przedmiotów). W tym też sensie kłopot z definicyjnym ujęciem przedmiotu jest analogiczny do kwestii definicji samego istnienia. Czy na pewno?

#### 4. Jest „jest” i ethos istnienia

Przyjmujemy zatem na wstępie, że istnienie jest pojęciem niedefiniowalnym. Przynajmniej w sensie tradycyjnej logiki i filozofii. To, co istnieje – istnieje: prawdopodobnie na tym stwierdzeniu powinniśmy poprzestać. I dalej: albo coś istnieje, albo nie istnieje – tyle tylko, że taka gruntowna alternatywa przekracza granice tautologii i logiki, ponieważ nie tyle orzeka o czymś, ile bardziej daje świadectwo czemuś. Mówiąc wedle rozróżnień wyżej przeprowadzonych, jest ona przekonaniem, a nie sądem. Dlatego sama jest wyrazem bytu i jego przedstawicielem. Nic dziwnego zatem, że sprawą znacznie bardziej poważną jest zajmowanie się tym, co jest, a nie tym, czego nie ma. Do tego celu powołaliśmy kiedyś ethosofię, która z definicji niejako zajmuje się tym, co istnieje, ponieważ to, co nie istnieje – nie istnieje. To ma być oczywiste.

W tym miejscu można też odwołać się do wywodów na temat pojęcia prawa. Otóż starotestamentowe prawo – które wszak w pewnym sensie stworzyło imię JESTEM – możemy czytać w kontekście pojęcia ethosu greckiego, tyle tylko, że nadajemy mu specjalne znaczenie.

Najogólniej mówiąc przyjmujemy, że ethos istnienia jest tym, co istnieje. Ale nie tylko w sensie: „ogół tego, co istnieje” (jak u Meinonga), ale również w sensie: „organiczny porządek wszystkiego, co jest”. A zatem mowa tu o tym, co nie tylko jest, ale jest w określonym łańdźcu. To wyczerpuje zakres pojęcia ethosu istnienia. W tym sensie powiedzieć możemy, że ethos istnienia jest podstawową racją istnienia tego, co istnieje. Tautologiczność tych twierdzeń jest oczywista, bo inna być nie może. Ale zarazem oddaje ona maksymalistyczny wymiar takiej ontologii. Skoro wobec tak ujmowanego istnienia bezradna jest logika i sama teoria poznania zorientowana przedmiotowo, to pozostaje nam kwestia oczywistości bytu – tej niewzruszonej pewności, której zaprzeczyć się po prostu nie da. Tak właśnie jawi się nam to twierdzenie, iż jest „jest”, a które odsłania nam zarazem zasadę wszystkich zasad. W pewnym też sensie jest wyrazem wiedzy sprzed wiedzy, czyli jednak owej rzeczywistości przedpojęciowej. Franz Meinong powiedziałby w tym momencie o przekonaniach.

## 5. Bezradność logiki

Przedstawmy jednak dokładniej tę bezradność logiczną wobec kwestii istnienia. Zaczniemy od obecnego w tej tradycji rozróżnienia na bycie i istnienie, które sprowadza „jest” do logicznej spójki. Wyrażenie „ten śnieg jest biały” wcale nie jest tym samym co „ten biały śnieg istnieje”. To drugie twierdzenie (wzbogacone asertywnością) odsyła nas do rzeczywistości pozallogicznej. Trudno jednak znaleźć „logiczne” przejście od jednej do drugiej. Ten brak komunikacji między jednym a drugim jest w istocie określeniem skoku od niewiedzy do wiedzy, co będzie jeszcze rozpatrywane niżej. Dlatego w tym miejscu pojawia się nasza kategoria oczywistości bytu, która z istoty swej jest nie tylko poza logiczna, ale i pozafilozoficzna. A więc raz jeszcze wychodzi, że jest Jest.

Tu natomiast poświęćmy słów kilka omówieniu innego rodzaju bezsilności logiki w określaniu rzeczywistości pozallogicznej. Przede wszystkim wynika z niej niemożność ścisłej formalizacji niektórych przynajmniej problemów filozoficznych. Tak się dzieje w przypadku chociażby formalizacji teorii prawdy. Innymi słowy, nie da się oddać językiem logiki pojęcia prawdy rozumianej w sensie filozoficznym. Co najwyżej tę ostatnią można badać pod kątem spójności wewnętrznej.

A jeszcze bardziej wyraźnie widać ten problem w przypadku próby opisu za pomocą logiki zmian w języku nauki; tu logika nader wyraźnie rozchodzi się z teorią poznania. Załóżmy, że za pomocą aparatu logicznego próbujemy opisać niektóre przynajmniej zagadnienia teoriopoznawcze, w szczególności kwestię zmian w teoriach naukowych<sup>4</sup>. Sprowadza się to do pokazania, jak wzbogaca się sam język nauki, a więc jak stare pojęcia i kategorie zostają wzbogacone o kategorie nowe. Innymi słowy, język nauki epoki późniejszej zawiera w sobie (z zachowaniem kategorii syntaktycznych) nie tylko wyrażenia epoki wcześniejszej, ale i wyrażenia nowe – na gruncie wszak tej samej standardowej formalizacji. Innymi słowy, każde wyrażenie proste języka wcześniejszego jest również wyrażeniem prostym języka późniejszego (rzecz jasna przy zachowaniu – co podkreślamy – kategorii). Krótko mówiąc, cały aparat pojęciowy „starej” nauki musi być zawarty w aparacie nauki „nowej”. Sama zaś zmiana pozostaje dla logiki nieuchwytna, czyli niedefiniowalna. Trzeba by było bowiem przy próbie opisu takiej zmiany zmienić wyjściowe założenia dotyczące poję-

<sup>4</sup> W tej kwestii por. R. Suszko, *Logika formalna a niektóre problemy teorii poznania*, „Myśl Filozoficzna” 1957, s. 2–3. Zagadnienie to poddałem analizie w rozprawie *O niektórych problemach współczesnej metodologii nauk humanistycznych*, w: B. Jasiński, *Droga myśli*, Warszawa 1997, s. 161–169.

cia języka nauki „późniejszej”, co na ogół się nie zdarza. Nie mówiąc już o tym, że zupełnie niewykonalne jest oddanie analizą logiki zmian paradygmatycznych w nauce – tu bowiem pękają sztywne gorsety formuł logicznych. A to one przecież stanowią o naukowości wiedzy. Mówiąc krótko, jeśli zapis formalny jest w stanie uchwycić pewne zależności na płaszczyźnie synchronicznej, to jego użyteczność w opisie zjawisk w ich przebiegu diachronicznym staje się wątpliwa.

Konkludując: mamy zatem dwa poważne ograniczenia w formalnym opisie rzeczywistości poznawanej. Raz wtedy, kiedy stajemy wobec przedmiotów obiektywnych, czyli pozalogicznych: tu nie ma i być nie może przejścia od logiki do ontologii. Ponieważ ma ono naturę skoku od niewiedzy do wiedzy – przynajmniej tej wiedzy, za jaką ją zazwyczaj uważamy w życiu. I dwa – język formalnego opisu pęka wtedy, kiedy musi oddać naturę zmiany i rozwoju w nauce.

## 6. Perspektywa ontologiczna i propozycja ethosofii

Przejdźmy teraz do ontologicznej perspektywy opisu istnienia. Widzimy już, że ethosem nie są dowolne wartości i ideały, dotyczące „świata w ogóle”, „życia w ogóle” lub „człowieka w ogóle”, lecz tylko te wartości i te ideały, które dotyczą samego istnienia. Tylko tak można domknąć oczywistość tego twierdzenia.

Ethos w tradycji filozoficznej rozumiano w sposób dwojaki. Po pierwsze, nazywano tak te wzorce i normy postępowania (obyczajów i życia wśród ludzi), które człowiek nabywa wraz z procesem wrastania w społeczeństwo. Jest to proces świadomy, oparty na swoistej wiedzy. Po drugie, przez ethos rozumiano ten zespół wartości, które człowiek – przez sam fakt swego istnienia – przyjmuje niejako bezwiednie. Pierwszy typ opiera się na procesach świadomych, drugi na nieświadomych. W pierwszym przypadku ethos przychodzi z zewnątrz, w drugim zaś odnajdujemy go wewnątrz sfery istnienia życiowego. Jest to różnica między transcendentnym a immanentnym punktem widzenia. Ethosoficzne rozumienie ethosu wychodzi od drugiego sposobu pojmowania tej kategorii. Nawiązujemy w ten sposób do naszych rozważań o rzeczywistości przedpojęciowej, o wiedzy sprzed wiedzy oraz o naturze przekonań, które były przedmiotem poprzedniego punktu<sup>5</sup>.

<sup>5</sup> Co ciekawe, taki sposób patrzenia na tradycję filozoficzną zaowocował w moim rozróżnieniu introsofii i extrasofii, co przeprowadziłem w książce *Dwie fenomenologie: Husserl i Heidegger*, Warszawa 1997. Oba te pojęcia traktowałem jako narzędzia analityczne do badania dziejów filozofii, to znaczy miast ustalonych podziałów na filozofię idealistyczną

Widzimy więc, że i wspomniana wyżej ethosofia nie może być tradycyjną filozofią. Filozofia bowiem się wyczerpała. Wybór jakiegokolwiek stanowiska teoretycznego w filozofii jest w świetle powyższych uwag swoistym aktem wiary. Żadnego bowiem stanowiska teoretycznego w filozofii nie da się całkowicie uzasadnić. Trzeba je tylko przyjąć – jest to bowiem kwestią założenia i jego konsekwencji.

W ethosofii tymczasem proponujemy odmienny porządek. Wychodzi się tu od tego, co istnieje. I co zarazem doświadczane jest jako oczywiste. Założenie może być rozumiane jako zarazem uzasadnienie i na odwrót (oczywiście w tradycyjnym języku filozoficznym).

Następujące po sobie koncepcje filozoficzne nie dają żadnych pewnych odpowiedzi. Dopiero – paradoksalnie – w pęknięciach filozofii, w przerwach, szczelinach między kolejnymi koncepcjami pojawia się ethos istnienia. Zadaniem ethosofii jest wydobycie ethosu istnienia poprzez eliminację metasfery istnienia, do której należy i którą zarazem uzasadnia filozofia sama.

Filozofia oparta jest – zauważmy, i co już podkreślaliśmy wyżej – na podstawowym dualizmie przedmiotu i podmiotu. Nie da się jej pomyśleć bez tego dualizmu. Jest on jednak w istocie formą niewiedzy, albowiem nie wynika z istnienia, które jest samoistne, realne i jedno – dualizm ten traktować więc musimy jako wymyślony.

Wszak założeniem i milczącą podstawą każdej tezy filozoficznej – zgodnie z wymogami logiki, na której filozofia właśnie się opiera – powinna być teza dokładnie przeciwna, tj. nie-filozoficzna, w przeciwnym bowiem wypadku pierwotna teza filozoficzna nie będzie należycie uzasadniona, chyba że przez tautologię, a tę trudno przyjąć za jakiegokolwiek uzasadnienie. A zatem w takim wypadku każda taka teza filozoficzna staje się czysto deklaratywna, na zasadzie: jeśli A, to... A. Nie istnieje jednak jakiegokolwiek logiczne przejście – a takiego właśnie żąda filozofia – od niewiedzy do wiedzy, od nie-filozofii do filozofii. I dlatego filozofia w swej istocie musi pozostać całkowicie deklaratywna. Stała się co najwyżej ekspresją osobowości filozofa, światem całkowicie zakleszczonym w słowach i pojęciach... filozoficznych; jako taka właśnie w całości należy do metasfery istnienia i zarazem sferę tę tworzy. Filozofia jest więc oparta na tautologii i nie może istnieć po eliminacji tautologiczności myślenia. To jest wewnętrzna sprzeczność, która niejako z definicji ją rozsądza: z jednej bowiem strony wymaga myślenia opartego na zasadach logiki, z drugiej zaś

---

i materialistyczną (wraz z wszelkimi możliwymi pochodnymi tego podziału) wprowadziłem podział na nurt właśnie introsocyczny i extrasocyczny. To pozwala niewątpliwie inaczej porządkować całą historię myśli filozoficznej i nie tylko.

skazuje samą siebie na brak jakiegokolwiek logiki, ponieważ musi zaakceptować tautologiczność swych dociekań.

Traktujemy zatem filozofię jako element całej metasfery istnienia. Metasfera istnienia jest domeną świata zreprodukowanego – a to jest przestrzeń istnienia życiowego. Żyjemy całkowicie zanurzeni w świecie zreprodukowanym – człowiek stworzył wokół siebie naturę zreprodukowaną, której materia, choć jakościowo inna od pierwotnej, utkana jest na podstawie mniemań o tej ostatniej. Rządzą nią tak samo twarde zasady jak prawo w pierwszej. Ta zreprodukowana natura jest na tyle gęsta i nieprzezroczysta, że uniemożliwia autentyczny dialog z naturą pierwotną.

Postawa ethosoficzna tymczasem, która wychodzi od oczywistości samego istnienia, znosi metasferę istnienia i restytuuje samo istnienie za pomocą eliminacji form życia (ograniczenie, powstrzymanie). Usiłuje ona odnaleźć zagubioną konieczność, która przewija się w istnieniu życiowym człowieka i która wynika z samego istnienia. Konieczność ta zarazem określa miejsce w bycie, które zajmujemy faktycznie. To jest ethos. Czy tak działa JESTEM, ale w dyskursie czysto filozoficznym?

Natura zreprodukowana rozwija się już według swoich, sobie tylko właściwych, prawidłowości. I tak człowiek, choć wyemancypował się z natury pierwotnej, popadł w niewolę natury zreprodukowanej, której – paradoksalnie – sam jest całkowitym twórcą. Ethosofia, wobec powyższego, wskazuje na kierunek drugiej emancypacji człowieka, emancypacji od niego samego, a ściślej, od jego własnych wytworów, które nim zawładnęły<sup>6</sup>.

Filozofia jest więc produktem natury zreprodukowanej. Człowiek stworzył system pojęciowy, który miał tłumaczyć i racjonalizować naturę, tymczasem system ten sam stał się naturą zreprodukowaną. Proces ten jest wielkim etapem w rozwoju ludzkości<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> Prekursorskim wyrazem tych tendencji w filozofii współczesnej jest najważniejszy w niej nurt demystyfikujący metasferę istnienia, którego wyrazem są zarówno badania współczesnych marksistów nad „świadomością fałszywą”, jak i badania fenomenologów nad „nastawieniem naturalnym”, egzystencjalistów nad „życiem nieautentycznym” oraz psychoanalityków nad „id”. Filozofia współczesna tym samym odkryła samą siebie, tj. fakt, że nie prowadzi jakiegoś wyimaginowanego dialogu z naturą, lecz raczej monolog sama ze sobą. Wszystkie zatem odkrycia, których dokonywała, nie przekraczały jej własnych granic – granic, które zarazem stały się granicami wszelkiego dyskursu teoretycznego.

<sup>7</sup> Zamkniętość filozofii potwierdzają – przykładowo – analizy Hansa Geорга Gadamera, który uważa, że przez filozofię należy rozumieć mówienie i rozmowę; por. H.G. Gadamer, *Prawda i metoda*, Warszawa 2007. Filozofia w takim ujęciu „pracuje” całkowicie na poziomie natury zreprodukowanej, nie wykraczając poza niego. Ethosofia tymczasem próbuje porzucić ten poziom i dlatego zrywa z filozofią. Doświadczenie, do którego odwołuje się

Natura zreprodukowana w odniesieniu do człowieka stanowi zatem metasferę istnienia. W jej przestrzeni rozgrywa się istnienie życiowe. Pragniemy tu podkreślić jeden jego aspekt. Człowiek naszego czasu, otrzymując informację, pozbawiony został możliwości zadawania pytań. Zdolność tę wykorzystała właśnie metasfera istnienia. Z pierwotnej natury dialogowej człowiek przekształcił się w naturę monologową, będącą ukonkretnieniem natury zreprodukowanej.

Rozmawiamy już tylko sami z sobą, a do jakiegokolwiek studni zajrzemy, zobaczymy w niej tylko własne oblicze.

W naturze zreprodukowanej mamy do czynienia zawsze i bez wyjątku tylko z sensem sensu, wartością wartości *etc.* O ile bowiem w naturze pierwotnej można było mówić o sensie i o wartości, o tyle tu mówimy o sensie tamtego sensu i o wartości tamtej wartości. Wszystkie problemy teoretyczne, które są tu stawiane, w tym te wypełniające przestrzeń metasfery istnienia i odnoszące się wprost do istnienia życiowego, mają taką właśnie strukturę podwójnego wzroku. Jest to wzrok, w którego patrzenie nieodwołalnie wpisany jest odbłask metasfery istnienia. Istnienie postrzegamy więc wraz z jego interpretacją, czyli wraz z metasferą. Oba te elementy ludzkiego doświadczenia są nieodłączne i da się je rozdzielić tylko abstrakcyjnie. Ta abstrakcja także należy do metasfery istnienia.

Czy powyższe uwagi są próbą restytucji poznania bezzałożeniowego lub intuicyjnego, wielokrotnie podejmowanego przez samą filozofię? Czy wynikają one z imienia JESTEM, które przecież jest przedfilozoficzne i pozapojęciowe?

Tymczasem na horyzoncie ciągle powiewa proporzec z napisanym imieniem „Jam Jest, Który Jest”. Nikt nie rozumie tych słów i nikt też nie zwraca uwagi na wiatr, który nim kołysze – który też jest. Jestem po stronie wiatru.

---

filozofia, jest w przeważającej mierze przez nią kreowane, w o wiele zaś mniejszym stopniu tylko jest.

Należy tu także uwzględnić – jako typowe – propozycje teoretyczne J. Lacana, w których widać ów proces zdobywania samoświadomości przez filozofię współczesną (por. J. Lacan, *Funkcja i pole mówienia i mowy w psychoanalizie*, Warszawa 1995). Społecznienie jednostki rozumie on jako jej partycypację w symbolicznym języku kultury. Struktury owego języka zaczynają z czasem kształtować osobowość i psychikę jednostki. Na tej podstawie twierdzi on, iż człowiek jest całkowicie pisany przez alfabet języka kultury. Ów język zniekształca przedmiot swej wypowiedzi (a także samą wypowiedź). Margines owego zniekształcenia powinna badać filozofia poprzez odsłanianie sfery podświadomej. Podświadomość bowiem – według Lacana – utrudnia bezkonfliktową komunikację społeczną, ponieważ wprowadza element przypadku i chaosu z punktu widzenia zracjonalizowanej struktury społecznej. Podświadomość ma jednak – dowodzi dalej – podobną strukturę jak język. Dlatego Lacan wprowadza tu pojęcie „przeniesienia” i „kondensacji”. Historia podmiotu w ujęciu Lacana staje się historią szczególnego poszukiwania siebie.

**Streszczenie**  
**Imię wszystkich imion „Jam Jest, Który Jest”**  
**i jego metafizyczne konsekwencje**

Treścią rozprawki jest analiza imienia „Jam Jest, Który Jest” w kontekście hermeneutycznych implikacji pojęcia istnienia. Autor nie ogranicza się do kwestii teologicznej, ale wyprowadza z niej metafizyczne (ontologiczne) następstwa, które sprowadzają się do logicznej refleksji nad kategorią istnienia. Na tym gruncie buduje oryginalne stanowisko teoretyczne, które nazywa ethosofią.

**Summary**  
**The name of all names „I Am that I Am”**  
**and its metaphysical consequences**

The content of the dissertation is the analysis of the name “I Am that I Am” in the context of hermeneutical implications of the concept of existence. The author does not limit himself to the theological issue, but he derives from it metaphysical (ontological) consequences that boil down to a logical reflection on the category of existence. He builds on that ground an original theoretical position which he calls ethosofy.